

Miron Białoszewski: Dni się tak nie rozróżniało za bardzo

Te Sakramentki, które przez ileś set lat, od Marysieńki, śpiewały za kratami i przez kraty przyjmowały komunię, nagle stały się działaczkami, społecznikami, bohaterską instytucją, oparciem dla Nowego Miasta – fragment książki Mirona Białoszewskiego „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego”.

(..) Dni się tak nie rozróżniało za bardzo. Ale to jedno święto – 15 sierpnia (wypadało we wtorek) – nagle postanowiono obejść, uczcić. Na przekór. Od rana.

To święto (teraz zniesione) kościelne było jednocześnie rocznicą tak zwanego „cudu nad Wisłą”. Którego wcale nie było. Oprócz metafory nic się nie zdarzyło. Ale metafora w ciągu lat udosłowniła się. Ale to chodziło o przedwojenność. Tym razem czekało się też na cud nad Wisłą. Też z nimi. Po drugiej stronie. I za Żeraniem. Ale żeby przyszli.

– Żeby już weszli.

– Żeby już przyszli.

– Żeby już byli.

Słuchało się frontu. Macało ziemię. Szli. Czasem ustawali.

– Piętnasty dzień powstania – mówiło się rano 15 sierpnia.

– Piętnasty dzień powstania...

Wydaje mi się, że uprzedziłem wobec tej daty pewne fakty, to rozhulanie się piekła. Ale przypominam sobie, że 15 sierpnia było już po wielu strasznościach – tu – na Starówce. Że ten poranek, nie pamiętam jak zaczęty, oczywiście upalny, zadymiony, coś się tam paliło, to znaczy dużo i dymu, i żywego ognia... Więc ten poranek, a raczej przedpołudnie, to było kilka godzin wypoczynku, spokoju i świąteczności po całych już kataklizmach.

Miała być na parterze w wielkiej sali z filarami uroczysta suma z udziałem pięciuset (chyba) powstańców, którzy tu u nas już kwaterowali, i całej ludności bloków A, B, C i D. Przygotowywano świece, naczynia; skądś dywan chyba, może i jeszcze coś dla ozdoby – co? nie pamiętam. Pamiętam, żeśmy się zaczęli schodzić. Że był upał, spokój. Że tłum cywilów i tłum powstańców w ponemieckich tygryskach, kawałkach munduru, z karabinami i z hełmami w rękę, zdobytymi na hitlerowcach. Że tłum był wreszcie ogromny, że światła się zapaliły, że ksiądz wszedł w zielonym, a może białym ornacie. I suma się zaczęła.

Nikt nie brał pod uwagę możliwości zamieszania, popsucia się szyków. Ani że prawie nikt się nie golił dwa tygodnie. Upał się zwiększał, suma trwała. Ludzie stali. I spokój. Był i był. Na końcu ksiądz zaczął prawie równo z powstańcami i tłumem:

Boże, coś Polskę...

Odśpiewało się. Rozeszli się. Wszyscy. Po swoich piwnicach. Wojsko po swoich kwaterach. Czyli po stanowiskach na parterze, w okienkach u wylotu, u barykad, i reszta z cywilami po schronach. I wtedy chyba zaraz przyleciały samoloty. Zleciały na nasze dachy. I zaczęły się bomby za bombami. Chyba się wtedy nie liczyło nawet. Tyle ich naraz. Wszystkie w nasze bloki. Ludzie wiedzieli, że Niemcy wiedzą, że tu jest kupa powstańców. Ale co? Mieć pretensje? (Nieraz były pretensje cywilów do wojskowych i na odwrót, ale tego dnia tu nie było.) Nie wiem, czy to wtedy któryś z karabinu strzelał (nieraz to robili) do lotników. I jednego trafił. Samolot spadł. Ale spadła i bomba na nas. Na naszą piwnicę. Huk. Ciemno. Wstrząs. I – dziwne, ale stoimy, zbici w kupę, jak staliśmy. Więc nie na nas? Potem były czołgi. Atak. Waliły. Potem artyleria. I dopiero – po paru godzinach – w słońcu, w upale – wychyliliśmy się ze Swenem na podwórko i zobaczyliśmy, że za ścianą naszego schronu jest dół i wydobywają coś białego. I to nie jedno. A wiadomo, że jak zamiast domu i piwnicy dół (otwarty) i wydobywają coś białego, i coś jeszcze białego leży, to nagięło sporo ludzi. Ano, przebiło do piwnic. Najbliższych sąsiadów. A my się nie połapaliśmy. Od tej pory dalsze piekło Starówki ruszyło już nieprzerwanie. I chyba już bez przerwy co dzień i co noc paliły się Sakramentki. Po kolei – wszystkie ich zabudowania, te na skarpie i te nad skarpą.

– Sakramentki się palą – mówiło się już odtąd codziennie.

A Sakramentki się paliły. I latały w welonach. Białych. I biły świnie, i krowy. Codziennie.

I rozdawały ludziom. I przyjmowały, i opatrywały u siebie ludzi. Coraz większe gromady. Tysiące. Te Sakramentki, które przez ileś set lat, od Marysieńki, śpiewały za kratami i przez kraty przyjmowały komunię, nagle stały się działaczkami, społeczniczkami, bohaterską instytucją, oparciem dla Nowego Miasta. Żywiły i część wojska. Wojsko rozdawało część swego cywilom. Tylko popełniano w kółko codziennie jeden i ten sam błąd. Były upały. I nie rozdawało się mięsa z dopiero co zarżniętych świń i krów, tylko to z wczoraj czy przedwczoraj. A to z wczoraj czy z przedwczoraj było już zaśmierdzałe. I jak wojsko to gotowało, bo wojsko to gotowało, w środkowych schronach, w kotłach, kubłach, to smród szedł na całe piwnice. Raz spróbowaliśmy i my jeść. Aleśmy ze Swenem nie mogli tknąć. Śmierdzało nie do zniesienia. Chociaż byliśmy już bardzo wygłodniali.

W tym smrodzie pamiętam leżących pokotem po nocnej akcji powstańców z łączniczkami i sanitariuszkami pod jednymi kocami. Niektóre kobiciny troszeczkę się gorszyły, ale tylko tak, na zaszemraniu i spojrzeniu. Więcej się chyba dziwiły. Jak można w takiej sytuacji myśleć o czymś takim. Reszta była na to idealnie obojętna.

Z powstańcami były na ogół dobre stosunki. Chociaż pamiętam jakieś przykre sceny na Freta przed Dominikanami. Jakieś baby wymyślały jakimś przypadkowym powstańcom. O to, co oni w ogóle narobili. W innym miejscu (ale to już tylko ze słyszenia) powstańcy wymyślali babom. Bo jak Niemcy ogłosili, że można wychodzić z białymi płachtami czy chusteczkami do poddania się na wiadukt żoliborski ileś tam bab podobno wybrało się. Wiadomości były o tym różne. Zresztą pewnie niejedno było takie wyjście. Czy raczej próby. Jedno chyba było szczęśliwe (dla tych z białymi chustkami). Innym razem podobno Niemcy strzelali. I może to wtedy baby w przerażeniu cofnęły się. Do najbliższego domu. Powstańcy zatrzasnęli przed nimi bramę, obrażeni. Potem chyba wymyślali, ale wpuszczali. Ale – wtedy niektóre się obrażyły. I poszły do innego domu. (...)

Miron Białoszewski